POWIEŚĆ i NOWELA

ROK XXI WARSZAWA, DNIA 23 LUTEGO 1929 ROKU NR. 8

WŁODZIMIERZ PERZYŃSKI

MECHANIZM ŻYCIA

21)

Calewiczowa wzięła Krzysię za rękę i pociągnęła za sobą do pokoju. Dla niej była to nowina radosna, ponieważ oddawna pragnęła, żeby się Stefan zakochał i w ten sposób wyleczył ze swej ponurej manji. Mogła się cieszyć tem szczerzej, że Krzysia podobała jej się od pierwszego wejrzenia. Pragnęła odrazu wpaść w taki ton, któryby nie raził harmonji zakochanych, ale ją spłoszyło spojrzenie syna. Dostrzegła w niem głęboko utajone cierpienie, które tylko ona jedna potrafiła odgadnąć. Odrazu więc zamąciła jej się w głowie przed sekundą jeszcze jasna sytuacja i nie wiedziała, co mówić. Wskutek tego zapanowało chwilowe milczenie, które zmieszało i Krzysię. Tłomaczyła je sobie brakiem zaufania pani Calewiczowej i nagle zwróciła się do niej z rozbrajającą serdecznością.

— Zobaczy pani, że mnie pani polubi... I będzie pani ze mnie zadowolona.

— Pani nie można nie lubić — uśmiechnęła się Calewiczowa.

— Ale pani o mnie jeszcze nic nie wie.

I Krzysia pośpiesznie zaczęła opowiadać o swojej rodzinie, studjach i planach, czem do reszty ujęła sobie Calewiczową. Wreszcie przypomniała Stefanowi, że o ósmej ma być u jej ojca i czując, że w tej chwili Stefan powinien zostać i porozmawiać z matką, nie pozwoliła mu się odprowadzić.

Po wyjściu Krzysi pani Calewiczowa nie zadawała synowi żadnych pytań, ani też nie robiła żadnych uwag. Najzwyczajniej w świecie zaczęła przygotowywać obiad. Twarz jej przybrała wyraz zwykłej, codziennej rezygnacji. Stefan zupełnie już sposępniał. Przyglądał się matce i to, że mogła być obojętna i spokojna, kiedy powinna była wiedzieć, co się w jego duszy działo, budziło w nim bezbrzeżną gorycz. I ta gorycz zaczęła się powoli przeradzać w wydobytą z podświadomych wspomnień dziecinnych potrzebę szukania ratunku tylko u matki. Z takiem samem nastawieniem uczuciowem, z jakiem podsuwał matce skaleczony palec, mówiąc — niech mama pocałuje, żeby nie bolało — zwrócił się teraz do niej.

— Mamo. Co ja mam zrobić?

— Nie wiem. Sama nie wiem, — odparła zatroskanym głosem, unikając wzroku syna, jakgdyby przez wstyd, że była tak bezradna. — To już ty musisz postanowić.

— Ja! — parsknął Stefan krótkim, zjadliwym śmiechem. — Przecież to już dawno zostało za mnie postanowione.

— Czy mówiłeś z nią o tem?

— Nie.

— Dlaczego?

Pani Calewiczowa miała nadzieję, że gdyby to wszystko, co ona mówiła bezskutecznie, powtórzyła Stefanowi kochana przez niego dziewczyna, to może potrafiłaby go przekonać i stworzyć mu całą pełnię życia, od której odgradzał się swoim beznadziejnym pesymizmem. Stefan odgadł intencje matki i pogrążyło go to w jeszcze większą rozpacz. Uczuł nagle, że są oboje jednakowo bezradni. I smutno się do niej uśmiechnął.

— Poco, mamo? Tak byliśmy przynajmniej parę dni szczęśliwi. A gdybym był powiedział, to nie mielibyśmy i tego. Zresztą uważam, że postąpiłem podle, — mruknął po chwili przez zaciśnięte zęby.

— Stefku...

— Podle. Jak najmarniejszey tchórz. Powinienem ją był odrazu uprzedzić, a nie wyzyskiwać jej miłości. Tu wyszedł dopiero ze mnie mały, lichy człowiek. Chcę się wyzbyć egoizmu, żeby móc żyć dla innych i zaczynam od najcyniczniejszego wyzysku.

Umilkł i przymknął oczy.

— Jak ja teraz będę żył? Przecież nie popełnię samobójstwa, bo tem bym się jeszcze bardziej spodlił. A czy ja potrafię pracować? Czy będę mógł teraz pracować?

— I nagle wybuchnął ze straszną rozpaczą w głosie.

— Niech mnie mama ratuje! Niech mnie mama podtrzyma jakoś, bo czuję, że sam sobie nie dam rady. Mówię, że nie popełnię samobójstwa, a wiem, że się zabiję!

Pani Calewiczowa zbliżyła się do syna i wzięła go za rękę.

— Słuchaj Stefku — odezwała się twardym, spokojnym głosem. — Powiem ci prawdę.

Stefan spojrzał półprzytomnie na matkę.

— Jaką prawdę?

— O, to bardzo dawna prawda. I bardzo smutna. Właściwie to historja całego mojego życia. I twojego — dodała po chwili milczenia. Będę starała się ciebie ratować. Ale czy nie będziesz miał do mnie żalu...

— Ach, niech mnie mama ratuje!

Calewiczowa wtuliła się w kąt starej otomany i Stefanowi przemknęło przez myśl, że na tem miejscu siedziała niedawno Krzysia. Wydało mu się, że tylko za to bardziej pokochał matkę. Ale ten prze-

błysk uczucia roztopił się zaraz w szarej, ciężkiej apatji. Oparł się łokciami o stół, ścisnął skronie i bezmyślnie zaczął się wpatrywać w sinawą przestrzeń przed oknem, na której kontury kominów przedstawiały się jak czarne, nalepione sylwety. Zobojętniał na wszystko i nie uświadamiał sobie nawet tego, że już zgóry nie wierzył, aby cokolwiek mogło go uratować. Słuchał matki tak, jak człowiek pochłonięty jakiemś nieszczęściem dla odpoczynku mózgu zaczyna słuchać tykania zegara. Skoro nie miał ratunku, to na cóż mogły się zdać wszystkie opowiadania matki. Coś w rodzaju uśmiechu zamigotało mu nawet w duszy, gdy usłyszał, że matka wraca do panieńskich wspomnień. — Dobra... poczciwa... Roztkliwiła go jej bezradność.

— Nawet sama sobie nie mogę wyobrazić, co ja odczuwałam i myślałam dwadzieścia kilka lat temu.

Było to już trzecie, czy czwarte zdanie. Pierwszych Stefan nie słyszał. Przepadły w strzępach myśli i obrazów, jakie snuły mu się po głowie bezładnie. Siłą woli skupił uwagę, żeby słuchać matki i próbować poprostu jakby mechanicznie oderwać się od cierpienia.

— Nieraz ci wspominałam, jakie było nasze życie na wsi. Mój ojciec gospodarował i ciułał pieniądze, a matka wychowywała dzieci. Oczywiście po swojemu. Mnie i siostrze było zapowiedziane, że mamy wyjść zamąż, a braciom, że zostaną przy ziemi. I nikomu z nas na myśl by nie przyszło, że mogło być inaczej. Kiedy się oświadczył o mnie rodzicom mój mąż, odrazu zasądzili, że powinnam się zgodzić. Rodzice nas nie tyranizowali — ale wyrastaliśmy w takiej atmosferze, że nikt niczego nie analizował i nie krytykował. Mnie się zdawało, że mój narzeczony bardzo mi się podoba. Byłam uszczęśliwiona, że się przeniosę do Warszawy i że będę panią inżynierową Calewiczową. Sądziłam nawet szczerze, że te wszystkie uczucia razem wzięte, to jest właśnie miłość. W parę miesięcy po ślubie mój mąż dostał krwotoku i okazało się, że był oddawna suchotnikiem i miał kawerny w płucach. Zaczęła się wędrówka po najrozmaitszych sanatorjach. Poszły na to wszystkie pieniądze, a po śmierci rodziców leczył się za mój posag. Jedyną pociechą dla niego w tej strasznej chorobie było to, że kuracja najzupełniej wypełniała mu życie. Każde lekarstwo, każda godzina werandowania, nawet mierzenie temperatury stwarzało dla niego nietylko przyjemność, ale poprostu rozrywkę i sanatoryjna egzystencja stała się dla niego niemal ideałem. Ja pozatem, że mu byłam potrzebna jako pielęgniarka, absolutnie nie istniałam dla niego jako kobieta. I dlatego jedynie mogłam przy nim wytrwać, bo od pierwszej chwili małżeństwa wzbudził we mnie nieprzezwyciężony wstręt fizyczny.

Stefan wyprostował się i spojrzał bystro na matkę. Zmroziła go fala nienawiści i obrzydzenia do ojca. Calewiczowa nie zauważyła odruchu syna. Wtuliła się jeszcze bardziej w kąt otomany i ciągnęła bezbarwnym, przygaszonym głosem.

— W tej długiej tułaczce zagranicą kilkakrotnie zajeżdżaliśmy do Meranu. Jeszcze mi względnie tam było najprzyjemniej. Mąż mój leczył się w sanatorjum Bindera, a ja mieszkałam w hotelu Bawarja. Był to duży hotel na Obermaise, już pod górą. Pamiętam, jak raz siedziałam na balkonie w gorący wieczór i pokojówka słała mi łóżko. Wyszła do mnie na balkon i pokazała mi po lewej stronie wierzchołków gór rzęsiście oświetloną wieś z ubranym lampionami kościołkiem.

— Niech pani patrzy — powiedziała — zrobili taką śliczną iluminację, bo biskup przyjechał z wizytą. — Dlatego utkwiło mi to tak w pamięci, iż tego samego dnia sprowadził się do hotelu lekarz Polak, który przywiózł do Meranu żonę suchotnicę i umieścił ją też u Bindera. Powiedział mi o tem zaraz właściciel hotelu, gruby Niemiec, bardzo poczciwy. Towarzystwo w hotelu było zresztą bardzo nudne, paru starych profesorów z Wiednia, mały syn bankiera z nauczycielką, jakieś stare panny, wszystko to chore, przesadnie dbające o swoje zdrowie, tak że jak się czasem mocniej w nocy przewróciłam na łóżku, to odrazu pukali w ścianę i skarżyli się właścicielce, która sakramentalnie po każdem śniadaniu i obiedzie pytała się każdego: — hat es gut gesmeckt?

Pani Calewiczowa mówiła coraz wolniej i widocznem było, że wdaje się w te wszystkie szczegóły z takiem uczuciem, jakgdyby przeżywała jeszcze raz to wszystko.

— Przywiozłam mojego męża wczesną jesienią na dłuższy pobyt. Było bardzo gorąco. Chorzy u Bindera cały dzień werandowali. Brrr! — wstrząsnęła się nagle — w tej chwili właśnie wydaje mi się, że widzę te papierowe spluwaczki, oplute krwią i pestkami od winogron. Żonę tego lekarza Polaka dla towarzystwa położyli na leżaku tuż obok mojego męża. Wtedy poznałam tych państwa. Ona była bardzo ciężko chora, miała włóknistą gruźlicę płuc i gruźlicę otrzewnej. Jej mąż przyjechał nienadługo. Dla niego był to zarazem wypoczynek po pracy. Całemi godzinami siedzieliśmy koło naszych chorych, w ciągu dnia wychodząc tylko na jedzenie...

Pani Calewiczowa umilkła nagle. Stefana zaczęło zaciekawiać opowiadanie matki.

— No i co?

— Ten doktór nazywał się Czarliński... Mąż mój już był wtedy skazany na śmierć. Cudem przeżył tak długo i lekarze mówili, że to już koniec. Wciąż był oblany potem, gorączka spadała i podnosiła mu się po kilka razy na dzień, miał już zaatakowane gardło i mówił z najwyższym wysiłkiem, a stopień jego wyczerpania był taki, że z trudem poruszał ręką. I wciąż żył. Doktór Czarliński, widząc jego stan i zobojętnienie na wszystko, bardzo często namawiał mnie, żebym zamiast siedzieć w sanatorjum, przeszła się gdziekolwiek. Jego żona też była chora beznadziejnie. Oboje z Czarlińskim całemi godzinami chodziliśmy po górach, do winnic, albo wzdłuż Passery. Wtedy wyschła prawie zupełnie i woda tylko cieniuteńkiemi strumykami przewijała się wśród skał. Zaraz koło promenady na samą Passerę była kawiarnia... Czasami odpoczywaliśmy tam. A już wieczory, to przegadywaliśmy w nieskończoność u siebie w hotelu.

Stefan uśmiechnął się pobłażliwie. Wyobraził sobie, że tematem opowiadania będzie jakaś cudowna kuracja człowieka skazanego pozornie na śmierć i że ten przykład miał być dla niego ratunkiem. Matka jego odetchnęła głęboko kilka razy. Chciała mówić, ale głos jej się załamywał. Wreszcie zaczęła jakby z lekką chrypką.

— Zakochaliśmy się w sobie z Czarlińskim bez pamięci. Komuż mogła nasza miłość przeszkadzać? Jego żona umierała i mój mąż umierał. Kiedy po kilku tygodniach Czarliński wyjechał, wiedzieliśmy już oboje, że będziemy mieli dziecko.

(D. c. n.).

8) MACHNO I JEGO ŻYDÓWKA

Aż do wieczora nie było mowy o Soni. Zdawało się, że Machno zapomniał o niej. Cały czas z nim przebywałem i, zdaje się, że umyślnie nie puszczał mię od siebie, abym nikomu nie mógł opowiadać o nocy, której byłem świadkiem.

Zresztą nie brakło nam zajęcia.

Bat'ko postanowił opuścić Ekaterynosław wraz ze swoim sztabem tegoż wieczoru. Zamierzał udać się do Sinelnikowa, gdzie miał część swych sił organizować na nowo... Trzeba więc było załadować osobistą zdobycz Machny, zapewnić żywność jego ludziom w czasie jego nieobecności, obmyśleć odwrót w razie możliwego powrotu wroga.

Dzień upłynął gorączkowo i szybko.

Machno przebiegał ulice miasta. Śmierć szła jego śladem, gdyż jego eskorta, chcąc rozpogodzić chmurne czoło bat'ki, strzelała lub tratowała końskiemi kopytami wszystko, co napotkała żywego po drodze.

Lecz on nawet uwagi nie zwracał na to, a ja jeden wiedziałem, o czem myśli...

Wieczorem powiedział mi:

— Idź po Sonię, jedziemy.

Na dworzec jechali w jednym powozie. Towarzyszyłem im konno i zauważyłem, że się nie odezwał ani jednem słowem.

Kiiko spotkał go na peronie i powiedział, wskazując ośmiu ludzi, wymęczonych i wybladłych:

— Oficerowie Petlury.

— Rozsiekać w kawałki i po wszystkiem, — machinalnie rzucił Machno, pomagając Soni wysiąść z powozu.

— Co? co pan powiedział? — zawołała.

I czepiając się jego ramienia, twarzą przy jego twarzy, prosiła:

Nie, błagam, proszę tego nie robić. Proszę spojrzeć na tych nieszczęśliwych.

— Dobrze, wypędźcie ich, niech idą wolni, —powiedział Machno swej eskorcie.

Poczem, nie odwracając się już do Soni, wszedł na peron. Nie widział spojrzenia, jakie mu posłała dziewczyna, lecz ja, który stałem przy niej, wiedziałem, że od tej chwili należy do niego.

Proszę tylko pomyśleć, ośmiu ludzi ocalało dzięki jej kilku słowom. Mogło to upoić dzieweczkę. Z pewnością nigdy nie marzyła ani o takiej władzy, ani o tak królewskim darze.

Pociąg Machny składał się z trzech wagonów. Sam zajmował salonowy wagon. Eskorta jego mieściła się w innych. Co do Soni, ta miała swój przedział specjalny. Poszedłem ją odwiedzić na rozkaz bat'ki i oznajmić jej, że przybędzie wkrótce do niej.

Była to zaprawdę dziwna dziewczyna. Miała zajmować ten przedział kilka dni, a może kilka godzin, a zainstalowała się, jak na całe życie.

Na ścianach wisiały fotografje, pocztówki. Na ławce rozłożony był przybór po paznokci. Stół przykryła wielką chustą różową. Samowar już szumiał...

Nie byłem obecny przy rozmowie jej z bat'ką tego wieczoru, lecz oboje powtórzyli mi ją potem. W każdym razie, tę scenę łatwo sobie wyobrazić. Pociąg przebywa stepy ukraińskie. Za oknami głęboka i śnieżna noc. W przedziale Soni ciepło i wonno. Siedzi tam Machno długowłosy, ze swemi stalowemi wargami, z oczami niezmiennemi, duszą pełną ogólnej nienawiści, nie znający zadowolenia, wiecznie niesyty.

Ona wierzy wszystkim niedorzecznościom: radości życia, dobroci, miłości, przebaczeniu.

A on się załamuje, ubiera we wspaniałomyślność swe pragnienie mordu. Wszystko przykrywa sztandarem anarchji. Ach! anarchja! co za piękne słowo! Tłumaczy zarówno pracę przy biurku, najszlachetniejsze sny i najwspanialsze mordy.

Sonia uwierzyła Machnie.

Nie zdziwiło mię to wcale. Nie miał żadnej wymowy, lecz dziwną siłę perswazji, ten magnetyzm właściwy przywódcom tłumów.

Ileż razy słyszałem go przemawiającego wobec chłopów, którzy nie rozumieli nic ze słów jego! Lecz cóż to znaczyło! Stał na estradzie, z swą futrzaną czapką, nasuniętą na oczy, z przeszywającem spojrzeniem, z ruchami gwałtownemi. I do tego stopnia ich fanatyzował, że kobiety szlochały, że mężczyźni gotowi byli zabijać i umierać i, że wołali z upojeniem, gdy jego powóz znikł już na skraju horyzontu:

— Bat'ko! bat'ko! nasz bat'ko!

I cóż to dziwnego, że Sonia widziała w nim także człowieka, oddanego ludowi, zbawcę chłopów, męczennika z Sybiru, mszczącego się na bogatych i możnych za krzywdy, wycierpiane przez swych braci i za swe własne.

Rozmowa ich trwała do rana.

Gdy znużenie ogarnęło dzieweczkę, poprosiła Machnę, aby wyszedł. Uczynił to bez słowa, lecz długo przewracał się na łóżku, zanim zasnął.

Sądzę jednak, że pomimo swego oczarowania, bat'ko uczuwał niejakie upokorzenie, że został jeszcze raz zawiedziony.

Po przybyciu do Sinelnikowa, nie zajmował się więcej Sonią przez trzy dni. Prawda, że miał do przygotowania nową kampanję, lecz fakt, że nie odwiedził już ani razu młodej dziewczyny, przypisywać mogę tylko obrazie.

Sonia śmiertelnie się nudziła i widocznie cierpiała nad swem opuszczeniem. Z nudów zawarła znajomość z przybocznymi Machny. Po kolei zdobyła sobie ich wszystkich.

Nawet ten goryl Kiiko posyłał jej prezenta i na jej stole pojawiały się najsmakowitsze szynki, najprzedniejsze wina.

Przyjmowała u siebie ulubieńców Machny, a ponieważ najczystsza kobieta nigdy nie bywa obojętna dla pięknych chłopców, więc zapraszała najczęściej Laczenkę, marynarza o sznurowanych butach.

Sądzę, że Machno nie zauważył tych faworów, gdyż inaczej nie tolerowałby tego. Lecz pewnego ranka, gdy pracował ze mną w swym wagonie, Sonia przeszła pod jego oknami w towarzystwie Laczenki. Było słonecznie, lecz bardzo mroźno. Dziewczyna ukrywała swój podbródek w futrzanym kołnierzu.

W ruchu tym jest zawsze coś wyzwyającego. Czy piękny marynarz chciał zajrzeć w twarzyczkę Soni? Pochylił się lekko ku niej.

Gwałtowna chmura przebiegła po twarzy Machny, który śledził ruchy młodej pary.

Jeszcze byłem oszołomiony uderzeniem pięści, którem mnie odsunął, gdy stał on już na platformie wagonu. Dzikie jego oczy nie schodziły z Laczenki. Zgorączkowana jego ręka daremno usiłowała odpiąć od pasa olbrzymi Colt.

Nie czekając dłużej, skoczył na ziemię. Jego palce wciąż były na cynglu i padł strzał. Marynarz zachwiał się, jak pod śmiertelnym ciosem.

Lecz rewolwer wciąż wisiał u pasa bat'ki, a kula przebiła tylko jego własne futro, drasnąwszy mu kolano. Ukazało się nieco krwi.

Laczenko podbiegł do niego, lecz został tak kopnięty, że upadł na śnieg.

Cała eskorta Machny, słysząc hałas, ukazała się w drzwiczkach pociągu.

Ja spoglądałem jedynie na Sonię.

Stała najpierw sztywna i zbielała, jak martwa. Nagle rzuciła się ku bat'ce, objęła go kochającemi ramionami i ze łkaniem, ze śmiechem, ze słowami bez związku, poczęła całować dziką twarz, drżącą od wściekłości i zazdrości.

Wszyscy milczeli.

Wówczas Machno, odsunąwszy Sonię bardzo łagodnie, wstąpił na platformę swego wagonu:

— Bracia, — powiedział uroczyście, — żenię się. Oto moja żona wobec prawa. I po wszystkiem.

Tegoż dnia nasz pociąg opuszczał Sinelnikowo i pędził całą parą, nie stając nigdzie, aż do Hulaj-Pola.

Nazajutrz Sonię ochrzczono.

A dnia następnego, w niedzielę, Machno się ożenił. Ach, na Boga żywego! cóż to było za wesele! Wesele bat'ki u niego w Hulaj - Polu! Wioska ta widziała orgje i zabawy bez liku. Lecz o tej uroczystości starzy opowiadać będą swym wnukom ze stulecia w stulecie.

Od domu Machny aż do cerkwi droga wysłana była najcenniejszemi kobiercami.

Cierpliwie tkano je w Persji, w Turcji i w Bucharze. Upiększały magazyny i mieszkania bogatych miast. Teraz konie bat'ki, młodej żydówki i ich świty deptały je kopytami.

W cerkwi śpiewał wspaniały chór, który sprowadzono pod kolbami karabinów, specjalnym pociągiem, z najbliższego miasta. I wino lało się z przewierconych beczek i rozlegała się strzelanina z fuzji, wymierzonych w niebo.

Dziesięć dni trwało ucztowanie.

W przeciągu tych dziesięciu dni, nikt nie śmiał się zbliżyć do Hulaj-Pola. Artylerzyści Machny, przesyceni alkoholem, nieprzytomni po tylu nieprzespanych nocach, bez przerwy strzelali z armat wojennemi pociskami, aby uczcić wesele swego bat'ki.

Na podziękowanie, zrobił ich wolnymi obywatelami anarchistycznej rzeczpospolitej Hulaj-Pole.

Opowiadający zamilkł.

Południe dzwoniło na zegarze restauracji, w której kilku nędznie ubranych ludzi posilało się w milczeniu. Kozak Stiopa spał przy stole mego przyjaciela, oparłszy czoło na swych dwóch zbójeckich pięściach. Widać było tylko jego potężne barki, obciągnięte czerwoną bluzą i szyję, szeroką i białą, stworzoną do pocałunków i razów nożem.

K O N I E C

NOTATKI LITERACKIE

WSPOMNIENIA SYRYJSKIE

Przeciętny polak nie zdaje sobie sprawy, jak wygląda konkretnie mapa Azji Mniejszej. Przed wojną przestrzenie te należały do Turcji. Teraz Anglja i Francja rozdzieliły między sobą te ziemie na sfery wpływów, powstały domniemane państwa suwerenne. O Syrji wie się naogół, że jest w sferze interesów francuskich. Faktycznie Syrja zawiera pięć państw: 1) państwo wielkiego Libanu, 2) państwo alawitów, 3) sandżak autonomiczny Aleksandretty, 4) państwo syryjskie, 5) państwo druzów.

Kto tu rządzi? Wysoki komisarz Rzeczypospolitej francuskiej. Stosunki polityczne są ciągle płynne. Walki prawie nie ustają...

Syrja interesuje jednak i z innego względu. Jest ona przecież siedliskiem Starej Francji i Palmiru. Posiada zabytki starych kultur. To powoduje, iż wielu światłych ludzi dąży w te strony. Warto jest przecież spojrzeć na rozpadające się mury, ongiś możnej, bogatej Palmiry. Cóż za świątynie budowano w tem mieście na wiele, wiele lat przed erą chrześcijańską? Dziś sterczą smętne marmury, świadkowie zmienności losu ludów, państw, kultur...

Barwnie opowiada swoje wrażenia z podróży po tych krainach prof. Jan St. Bystroń. W r. 1926 wspólnie z prof. Wł. Antoniewiczem znalazł się wśród karawany syryjsko - palestyńskiego zjazdu archeologicznego. Wrażenia z tej wędrówki „spisał w czasie słotnego lata w Zakopanem, gdy deszcz zasłaniał widok na góry, a myśl wracała ku upalnym i barwnym obrazom „Wschodu". Wspomnienia prof. Bystronia są ilustrowane miedziorytami. Czytają się nadzwyczaj ciekawie. Zostawiają wiele cennych informacji a przedewszystkiem miły nastrój kulturalnego towarzystwa. Autor jest bystrym obserwatorem. Potrafi zawsze skupić się na rzeczach ważnych i podać je w formie prostej a pociągającej.

WOJNA I NIENAWIŚĆ RAS

Europa stosunkowo najmniej zna nienawiść rasową. U nas murzyni, azjaci cieszą się nawet względną popularnością. W Stanach Zjednoczonych są to zjawiska nie do pomyślenia. Murzyn lub wogóle człowiek kolorowy uchodzi za parjasa. Musi obracać się w swoich środowiskach, zajmuje zawsze stanowisko podrzędne. Istnieją jednak próby, narazie intelektualne, odnalezienia porozumienia. Tendencję tę ujawniają misjonarze chrześcijańscy, kwitnie też wśród intellektualistów europejskich, znudzonych ideami, ideałami, cywilizacją ras białych. Buddyzm przyświeca im, jako gwiazda zaranna poczynań. Teozofowie znów chcieliby pogodzić wszystkie rasy i klasy społeczne przez eklektyzm naukowo-religijny.

Są to prądy ideowe, jednak zbyt słabe, żeby się przeciwstawić rzeczywistości. Nienawiść ras utrzymuje stan czuwania i wojny. Czy wyzwolimy się kiedyś z tego koszmaru rzeczywistości? Pytania te stawia sobie wielu światłych europejczyków, przeczuwających niebezpieczeństwo azjatyckie. Nie znaczy to wcale, by już wyrównano różnice państwowe i narodowe na naszym kontynencie. Jeszcze jest wiele do zdziałania i w Starej Europie. Czyżby nas mieli pogodzić dopiero Azjaci?

Znalazł się już jeden; chciał nas przekonać ewangelją Buddyzmu. Był to człowiek papierowy, wyimaginowany przez inwencję literacką Paul Moranda. W powieści pt. „Żyjący Budda" książę krwi królewskiej, syn Indry II, uduchowiony Dżali, uciekł z państwa swojego Karastry, by odbyć drogę wyzwolenia i odkupienia wzorem świętego proroka Wschodu Gotamy. Cóż osiągnął ten naiwny, dobry książę! Wyrzekł się swego bogactwa, żył jak mnich, nędzarz — nie uszlachetnił swoim przykładem nikogo. W Anglji i Francji przypatrywało się mu kilku snobów, kilku filutów, kilku ludzi z nieprawdziwego zdarzenia. W Stanach Zjednoczonych odczuł dopiero całą niższość swej rasy, choć kulturze jego wewnętrznej nic przeciwstawić się nie mogło. Ignorowano go, jak każdego żółtego człowieka. Czyż mógł pouczać, czem jest mądrość boskiego Buddy? Wraca więc na tron swego ojca i obejmie władzę, jako Indra III, pogrążywszy się w milczenie i spokój. Nie zrozumie tego żaden europejczyk. Jest to język kilkudziesięciu wieków pracy ducha...

Nienawiść rasowa czyż osłabnie przez to usunięcie się z pola działania? Nie starajmy się tego rozstrzygać. Wschód i Zachód inaczej te rzeczy ujmują...